

PRZEKRÓJ
31-012 Kraków, ul. Reformacka 3

wydanie

1 7 2 5 — — 30 -04-78

665

Rok XII. Nr 4 (106)

KURIER WARSZAWSKI

Kwiecień 1978

Zimmerman — genialny czy tylko średni? • Czy warto tańczyć same walce?
• Dramat nie rozpoznany (no i rzeczywiście!) • Pan Szober poddany odpowiedzialnym zabiegom • Smaczek Warszawy Prusa bawi jak sto lat temu...
• Dla kogo i dlaczego dawniej chodzono do kina?

Podobnie nie mam pewności czy należało wystawić „Dramat nie rozpoznany” Witkiewicza; utwór odnaleziony dopiero po śmierci pani Jadwigi Witkiewiczowej — zachowany we fragmentach, bez początku i bez zakończenia („tytuł” nadał mu Konstanty Puzyna). Opublikowany dopiero w II wydaniu „Dramatów” Witkiewicza (PIW 1972) teraz doczekał się swej prapremiery: w Teatrze Małym, w reżyserii Tadeusza Minca. Puzyna, najwybitniejszy nasz „witekacolog” twierdzi, że „Dramat nie rozpoznany” to jeden z ciekawszych utworów Witkiewicza, ponieważ rozważa sprawę etyki, na temat której Witkacy w zasadzie nigdy się nie wypowiadał. Jest to spostrzeżenie jak najbardziej słuszne, „Dramat” jest interesujący... w czytaniu. W spektaklu natomiast wszystko się w nim gmatwa; po prostu Minc korzystając ze swobody jaką stwarzały mu luki w dochowanym tekście — rozszalał się inscenizacyjnie, tu pouzupełniał, tam podokładał, ówdzie rozwinął... zapominając o starej prawdzie, że wszystkie absurdalności i paradoksy Witkiewicza wtedy naprawdę błyszczą i fascynują, kiedy podaje się je zwyczajnie, poczciwie, skromnie.

Trudno też mówić oś o aktorach, jeśli jako zasadę przyjęto operowanie sztucznym, pokretnym gestem, płasem, akrobacją itp. Bodaj jedynie Bohdana Majdę (Matka), a zwłaszcza Janusz Kłosiński (Sędzia) uratowali się z tej inscenizatorskiej rozprawy z Witkacym. A „Dramat” dla widzów w Teatrze Małym nadal pozostał nie rozpoznany...

Że jednak nie samą wielką literaturą żyć nam przysłało, obejrzałem w Teatrze Łomnickiego, na Woli, operetkę komiczną Feliksa Szobera i Adolfa Sonnenfelda napisaną (po stu latach!) na nowo przez Ryszarda Marka Grońskiego i Włodzimierza Korcza... Boże mój! „Podróż po Warszawie” — toż to uroczy relikwitu uroczej epoki teatrzyków ogródkowych, z których słynęła niegdyś nasza stolica, przypomnienie Warszawy pana Prusa, pierwszego „Kuriera Warszawskiego”, konnych tramwajów, przejażdżek łódką na Saską Kępe, początków kolei parowej, skromnych pańienek na wydaniu, prowincjonalnych dziedziców obnoszących po piwiarniach swą bezdenną głupotę i prymitywnych warszawskich cwaniaków obnoszących tamże swe przedmiejskie maniery...

Feliks Szober — dziennikarz, tłumacz librett operetkowych, inspicjent teatralny, drugorzędny aktor do epizodów, patrzył na to wszystko bystrym młodym okiem i wreszcie — za namową przedsiębiorcy teatralnego, występującego w „Tivoli” Doroszyńskiego, napisał wodewil: „Podróż po Warszawie”. To dopiero był sukces! Publiczność tłoczyła się do „Tivoli”, jak gdyby nie oglądała tam na scenie samej siebie, lecz albo braci syjamskich, albo ciele o dwu głowach. Postacie bohaterów wodewilu: Barnaby Fafuły i Józia Grojseszyka stały się przysłówkami...

Szober wraz ze starszym od siebie o blisko dziesięć lat muzykiem, panem Sonnenfeldem trafili na złotą żyłę: pisali kolejne wodewile żywo reagujące na aktualne zdarzenia, będące jak gdyby udratyzowanymi satyrycznymi felietonami. Publiczność niezmiennie była zachwycona, lecz krytycy... nie pozostawiali na Szoberze suchej nitki, odmawiali mu jakiegokolwiek talentów. Nie miał przy nich Szober łatwego życia, może i dlatego zakończył je szybko: zmarł na atak serca mając 33 lata.

Dziś o tych krytykach nikt już nie pamięta, natomiast wodewile Szobera... Gdy utraciły bezpośrednią aktualność zeszły na jakiś czas ze scen, ale powróciły na nie po latach jako pełne uroku staroświeckie obrazki, przywodzące przed oczy starą Warszawę. Do drugiego żywota „Podróż po Warszawie” przyczynił się przede wszystkim Leon Schiller, dając znakomitą jej inscenizację w Teatrze im. Bogusławskiego w roku 1924. Pisał Antoni Słonimski, że uczynił przystupę paru ludziom lubującym się w świeżej naturalności dowcipu i w tej miłej zżółkłej barwie, przypominającej stare roczniki „Któsów”

położonych słońcem przez szyby antykwarni...

A teraz — trzecia młodość! W adaptacji Ryszarda Marka Grońskiego (tekst) i Włodzimierza Korcza (muzyka) z Szobera pozostał wprawdzie tylko jeden czterowiec:

W kapeluszu z wielkim kokiem
i ze szkiełkiem od pan Pik —
Będziesz panna strzelać okiem
I zadawać wielki szyk...

natomiast z Sonnenfelda nie ocalał bodaj ani jeden takt, niemniej — zachowało się coś znacznie ważniejszego: atmosfera. Klimat tamtych czasów oddany już poprzez dzisiejsze na owe czasy spojrzenie (scenka w redakcji „Kuriera Warszawskiego”, scenka na Wystawie Rolniczej, niektóre kuplety), ale przecież pełen wdzięku i staroświeckiego smaczku. Piosenki mają świetne „Schlagworty” i zabawne skojarzenia, muzyka pomysłowo, dowcipnie instrumentowana, łatwo wpada i pozostaje w uchu... Toteż chociaż niezupełnie zgadzam się ze zdaniem autora nowej wersji, że *oryginał Szobera wystawić dziś niepodobna*, to przyznaję, że jeśli już trzeba było robić aż tak daleko posuniętą adaptację, to zrobić ją lepiej byłoby raczej trudno. Groński i Korcz zasłużyli na brawa!

W obsadzie błyszczy przede wszystkim Hanka Bielicka (Fafuła), a dzielnie dotrzymuje jej kroku Wacław Kowalski (Barnaba Fafuła). Z pozostałymi rolami bywa natomiast różnie, podobnie jak i ze scenografią (raczej skeczową niż wodewilową), no i z reżyserią. Młody reżyser Andrzej Strzelecki, który w telewizji tworzy najlepsze dziś programy kabaretowe (lecz ostatnio o prymat w tym gatunku w naszej TV nie tak znowu trudno), w teatrze radzi sobie na razie trochę gorzej. No, ale młody jeszcze — wszystko ma przed sobą; na razie, tak czy inaczej, publiczność wypełnia Teatr na Woli po brzegi i bawi się na tej „Podroży” równie dobrze, jak bawiła się sto lat temu za czasów Szobera. Zaś publiczność w wypadku takich sztuk bywa najważniejszym i najlepszym sędzią.

I nie najgorsze były czasy, gdy spektakle i filmy tworzone z myślą nie o krytykach i nagrodach, lecz właśnie z myślą o publiczności... W warszawskim „Iluzjonie” oglądałem ostatnio cykl dawnych filmów z Fredem Astaire’em i Ginger Rogers. „Wesoła rozwódka”, „Panowie w cylindrach”, „Roberta”, „Lekkoduch”... Z grubsza biorąc fabuły tych filmów bywały niemal identyczne; zmieniały się imiona i profesje bohaterów, zmieniała (choć nieznacznie) scenografia, ale konflikt pozostawał w zasadzie nietknięty. A przecież — wystarczał jeden czy drugi układ taneczny, jeden czy drugi przebój i każdy z tych filmów zaczynał żyć własnym efektownym życiem, każdy stawał się inny. Nie było dla niego ważne, że w „Wesołej rozwódce” Ginger Rogers bierze Freda Astaire’a za kogoś innego, a w „Panach w cylindrach” Fred Astaire jest brany za kogoś innego przez Ginger Rogers. Ważne było to, że w pierwszym filmie tańczono „Continental”, a w drugim „Cheek to cheek”, ważne, że w „Robercie” śpiewano „Smoke gets in your eyes” — „Załawione oczy”...

Chodziło się do kina nie dla rozwiązywania problemu i nawet nie dla akcji. Chodziło się po to, aby zobaczyć znakomitość, do dziś w swym rodzaju nie prześcigniony taniec Freda Astaire’a by kochać się skrycie w Ginger Rogers i słuchać dobrej muzyki. To wystarczało. Zresztą — czy naprawdę było to tak niewiele?

Dzisiaj film przestał być rozrywką — stał się sztuką. Sport także przestał być rozrywką — stał się wyzwaniem. Muzyka przestała być rozrywką — stała się matematyką. Piosenka przestała być rozrywką — stała się poezją... Bardzo to pięknie i interesująco. Tylko świat jakby trochę stracił na uroku!

LUCJAN KYDRYŃSKI